



Wiosną 1860 roku warszawski bruk zadrżał pod naporem świątecznych korowodów, co Wacław Szymanowski barwnie uwiecznił w „Tygodniku Ilustrowanym”, malując słowem i tuszem autentyczny obraz niedzielnego życia stolicy.

Oto dokładna transkrypcja tekstu z 1860 roku, z zachowaniem oryginalnej pisowni, interpunkcji oraz układu graficznego.

NIEDZIELA W MIEŚCIE.

Każde większe miasto europejskie ma swój sezon, to jest porę w której największym wre ruchem, najsilniejszym ożywieniem kipi.

Warszawa, właściwie mówiąc, nie ma swojego sezonu. Są wprawdzie pory, w których miasto więcej jest ożywione i ludniejsze, są miesiące w których życie uciekać zdaje się od nas; ale pochodzi to zwykle z przybytku lub ubytku napływowej ludności, właściwe zaś miasto pozostaje takim, jakim jest zwykle, w lecie, czy w zimie.

Nie chcemy bowiem liczyć do właściwej ludności Warszawy, téj przelotnej klasy mieszkańców, którą raz wabi Paryż, drugi raz Włochy, Szwajcarya lub morze, która nosi te same cechy charakterystyczne u nas, co w Londynie, Paryżu i Wiedniu, a może i chlubę ciągnie z tego, że tak zwaną *europejską ogladą* w niczym zgoła od cudzoziemskich salonów się nie różni. Tych zwykle gromadzi do miasta zima, a lato wygania. Dla nich, we właściwém znaczeniu tego wyrazu, niedziela nie istnieje.

— Alboż to ja szewc, żebym w niedzielę się bawił, mówi niejeden z nich. Dla mnie każdy dzień jest świętem.

I słusznie. Dla szewca, jak dla każdego pracowitego człowieka, niedziela ma wielkie znaczenie w tygodniu. Stanowi ona przerwę w pracy, odpoczynek po trudach, dzień wytchnienia, chwilę rozrywki, wynagrodzenie niejako za sześć dni nieprzerwanego zajęcia.

A proszę się nie gniewać za to porównanie. Szewca pracowitego, tak jak każdego innego człowieka, który darmo czasu nie marnuje, mam w wielkim szacunku. Każdy z takich, jeżeli sumiennie dopełnia swoich powinności w szczupłym obrębie działania jaki mu Bóg przeznaczył, jest bardzo użytecznym członkiem człowieczeństwa, daleko użyteczniejszym od majętnych próżniaków, którzy przepędzają swój czas na bezczynności i ziewaniu. Tacy

nic nie mają po czém odpoczywać, więc też i niedziela nie może mieć żadnego dla nich znaczenia.

Dzień ten uroczysty zwykle u nas rozpada się na dwie połowy.

Jedna z nich poświęcona chwale Bożej; pod tym bowiem względem Warszawa może służyć za wzór innym miastom. Świątynie u nas zawsze są pełne, a nawet często okazują się za szczupłe na tłum wiernych który się do nich zbiera. Nieraz w niedziele i dnie świąteczne lud modli się przede drzwiami kościołów, nie mogąc się we wnętrzu pomieścić. Bo dzieje narodu naszego uczą, że zawsze strzegł on i bronił chwały Bożej; niewzruszone też tkwi w nim przekonanie, że Opatrzność osobliwszą nad krajem naszym rozciąga opiekę. To przekonanie, ta wiara niezachwiana, są pociechą we wszelkich nieszczęściach, we wszelkiej niedoli. „Nie upadaj pod ciosami losu, mówi mędrzec chrześcijański, bo dla tych co krzyżowi czynili służbę i walczyli zań, najpiękniejszą nagrodą jest ten właśnie krzyż Pański do znoszenia.“

Druga połowa dnia niedzielnego poświęconą jest, jak już powiedzieliśmy, rozrywce, zabawom, wytchnieniu po pracy. Bo kto przez cały tydzień chwali Boga użytecznym czynem, temu godzi się dać sobie jeden dzień folgi, na wzór Stwórcy naszego.

Dlatego też, zwłaszcza w dzień pogodniejszy, w każdą niedzielę od rana do wieczora mrowie ludu roi się po ulicach, wszystkie miejsca przechadzek, wszystkie zabawy publiczne liczniej są niż zwykle uczęszczane i w ogóle całe miasto strojniej jakoś wygląda.

„Oto publiczność niedzielna,“ rzeknie ten i ów, przypatrując się temu ruchowi z wysokości próżniaczej godności swojej. „Nie można wyruszyć kroku na miasto, żeby się z tą niedzielną publicznością nie spotkać.“

Zapewne, bo ta niedzielna publiczność, to jest całe miasto, to jest właściwa ludność warszawska, i kto chce dobre a sprawiedliwe o nas powziąć wyobrażenie, niechaj z niej sądzi, a nie z wyjątków. Wówczas nie powie on pewnie, jak to się zdarza przybyszom kilka dni u nas bawiącym i w dwóch albo trzech salonach przyjętym, że Warszawa jest najkosmopolityczniejszym grodem pod słońcem, że brak tu wszelkich cech odrębnych, któreby świadczyły o naszej indywidualności narodowej.

Już od samego rana w niedzielę ruch niezwykle. Chodniki czyszczone są staranniej aniżeli w dniu powszednie, co wszakże nie dowodzi jeszcze wielkiego porządku, bo dobrze wiadomy jest pod tym względem konserwyzm naszych stróżów, którzy kurz i błoto, jako pamiątki archeologiczne, pragną każdy w swoim wydziale zachować.

Jeżeliś fizyognomista, to stań sobie w niedzielę około dziewiątej godziny z rana na chodniku jakiej uczęszczanej ulicy i przypatruj się tłumowi. Mężczyzn jeszcze łatwiej ci będzie poznać po zaroście, po kroju sukni, po wyrazie twarzy, wreszcie po chodzie i po mowie, który do jakiego stanu lub powołania należy. Ale ogłoszę cię za bardzo domyślnego, jeżeli tak samo potrafisz sobie dać radę z kobietami i rozpoznać wielką damę od urzędniczki, bankierową od rzemieślniczki, fabrykantkę od szwaczki. Na wszystkich też same krynoliny, też same materye, też same kapelusze najświeższych fasonów, w których nawet mody paryżkie zwykle przesadzane bywają, też sama prawie wykwintność we wszystkiem. Jeżeliś świeżo do Warszawy przybył, a zechcesz ze strojów o ludziach sądzić, pomyślisz sobie że to miasto z samych bogaczy złożone. Wszystko przystrojone na urząd. Kobiety co się zazwyczaj zbyt ubierają, w niedzielę pozostają takimi, jakimi są w dniu powszednie; te zaś dla

których świąteczny dzień jest uroczystością, wydobywają to co mają najświeższego i najdroższego, żeby mieć się czém popisać na ulicy. Smutna ta wada, od kilku zwłaszcza lat u nas zakorzeniona, przestraszające przybiera już rozmiary. I wszelkie moralizowanie, wszelki opór płci brzydkiej na nic się nie zda, dopóki piękne nasze damy nie rozmyślą się, i skromność w ubraniu nie wróci na porządek dzienny, jak to za dawnych dobrych czasów bywało.

Radzibyśmy także, kiedy już o dawnych czasach mówimy, żeby zaniechano otwierania sklepów przez cały dzień w niedziele i święta, jak to od kilku lat, wzorem miast francuzkich i niemieckich, weszło u nas w zwyczaj. Wszakże dość na tém, kiedy sklepy są otwarte do dziesiątej, jak to dawniej bywało i jak to zresztą przepisy nakazują. Handel z nabożeństwem nie idzie w parze, a wreszcie i dla ludzi sklepowych powinien być choć raz w tydzień odpoczynek, na który trującą pracą innych dni zarobili.

W porze letniej, kiedy pogoda służy, po nabożeństwie Saski ogród bywa ulubioném miejscem przechadzki. Już nie środkowa, ale boczna aleja staje się wtedy głównym punktem zebrania piękności i exhibicyi strojów. Emerycy, amatorowie wody zimnej i pacyenci szukający chłodu, a stanowiący codzienną ludność téj alei, muszą podówczas z żalem przeprowadzać się gdzieindziej, ustępując miejsca niedzielnej publiczności.

Ale rzeczywisty ruch świąteczny, prawdziwe zabawy niedzielne rozpoczynają się dopiero w godzinach popołudniowych. Wówczas to Warszawianie letnią porą rozbiegają się na wszystkie strony świata, szukając choć kawałka drzewa, cienia, ogródka.

Wytworniejsza część publiczności, ludzie wykwinniejszej ubrani, kobiety o modniejszych strojach, ciągną Krakowiém Przedmieściem i Nowym Światem ku alejom. Chodniki tak są zapełnione, że trudno się mijać, a ulicą ciągnie powóz za powozem. W tych powozach wiecznie jedne i te same ujrzyć twarze, i ekwipaże te tak dobrze znane są Warszawianom, że już zdaleka każdy z nich prawie po koniach i uprzęży odgadnie kto jedzie. Dorożki pędzą zwykle do szwajcarskiej doliny, gdzie też po części i tłum pieszych zdąża. Powozowi, albo nie wysiadając objeżdżają kilkakrotnie aleje, spoglądając z wysokości sprężynowych poduszek swoich na tłum chodniki zalegający, albo też wysiadają czasem przed ogrodem botanicznym, żeby się tam przez półgodzinki ponudzić na ławce. Bo dla dam powozowych, dolina szwajcarska w niedziele i święta staje się wstrętném miejscem; wówczas bowiem zalega ją publiczność niedzielna, a któżby się tam chciał mieszać z takim tłumem? Panowie, to co innego, nie są oni tak trudni; powiem nawet pocichu, że wolą oni niedzielną publiczność od innej, jest tam bowiem czemu się przypatrzeć, nie brak świeżych twarzyczek i zgrabnych kibici.

Za to znowu Saska kępa odmienną już zupełnie załadnia się publicznością. Niektórzy tam wyjeżdżają z różnemi zapasami, jest to bowiem już trochę podróż. O wykwinne stroje nie chodzi bardzo, bo zabawa używana tam jest ruchliwa, hałaśliwa i wesoła, mocno wesoła. Huśtawki, karuzele, strzelanie do celu, tańce i muzyka, (bo gdzież się u nas bez niej obejdzie) stanowią grunt téj zabawy. Ale muzyka nie gra tam żadnych symfonij i wyjątków z oper, tylko polkę, mazurka, walca. Czasem prosta katarynka zastępuje orkiestrę, a nie przeszkadza to wcale tańcom, owszem dodaje im nowego żywiołu wesołości.

— Hej, hejże wesoło, będą nowe zbytki!
Kto chce je zobaczyć, niech daje dwa dytki.

Wszystko bo tam kosztuje tanio i za kilka złotych można się nabawić do syta. A niema strachu o suknie żeby się zbrukały: płócienka się wypiorą, kapelusz zawiesi się na gałęzi i dobrze mu z tém, a świeżej twarzyczce jeszcze lepiej we włosach trochę na wiatr rozwianych. I huśtawka idzie w górę, wysoko, wyżej jeszcze, bo popychają ją ręce, które się nigdy do pracy nie leniły, a teraz na usługi ukochanej piękności Bóg wie czego dokazaćby mogły. Więc choć wieczór nadejdzie, mało kto się spieszy, i zabawa do późna się przeciąga.

Toż samo mniej więcej, z małemi odmianami programu, dzieje się na różnych przechadzkach zaokopowych, jak np. na Czystém itp.

A i w Warszawie nie brak także ogródków, a w każdym brzmi muzyka. Kto wieczorem w niedzielę przechodzi się po ulicach naszego miasta, ten ze zdziwieniem usłyszy z każdej prawie bramy wychodzącą jakąś symfonią, jakieś brzęki i gwar pomieszanych rozmów. To są ogródki bawarskie! Bo żeby stworzyć taki ogródek, potrzeba tylko kilku łokci kwadratowych byle jakiego podwórka; o drzewa mniejsza, skoro jest nazwa ogródka, są ławki, stoliki, sztachetki i bufet, to już się bez drzew obejdzie. Każda z takich bawaryj ma ugodzoną swoją muzykę i jakieś specjalne widowisko, którem podnieca ciekawość publiczności. Tutaj mimik odgrywający po niemiecku jakieś sceny, których nikt nie rozumie; tam menażerya składająca się z kreta, gęsi i dwóch świeżo złapanych szczurów; tam znowu jakieś widowiska optyczne, akrobatyczne, balony, Bóg wie nie co. A wszędzie illuminacja i niemal wszędzie sztuczne ognie. Jak to wszystko pomiędzy godziną 10tą a 11tą wieczorem zacznie po kolei pukać, pękać, syczyć i wyskakiwać w górę różnemi racami, szmcermelami, bukietami i kołami brylantowemi, to zdawałoby się że Warszawa lada chwila wyleci już w powietrze. A jest to rzeczywiście hasłem ukończenia zabaw i powrotu do domów. Z ostatnim wystrzałem, z błysnięciem ostatniej racy, ucicha muzyka, przygasa illuminacja, opróżniają się miejsca, a w ogródkach zostają się już chyba tacy, którzy sztukę dla sztuki, to jest piwo dla piwa lubią. I będą oni do północy i za ten termin nawet wysączać kufelki, dopóki przymus policyjny nie zmagli ich do powrócenia niepewnym krokiem na łono rodzin swoich.

W zimie też same zabawy, tylko na inny powtórzone sposób. Przechadzek już niema, sale zastąpiły miejsce ogródek, ale muzyka pozostała. Publiczność co w lecie zapełniała aleje różnobarwnym tłumem swoim, gromadzi się w zimie do sal obu teatrów, które już niezachwianie rachując na ten napływ, nigdy w niedzielę ani w święto z nową nie wystąpią sztuką. Prawda że tę nowość i w dzień powszedni rzadko nam się zdarza oglądać. Ale pocziwa publiczność, ponieważ umyśliła koniecznie się bawić, ponieważ to jój niezaprzeczone prawo świąteczne, śmieje się do rozpuku z konceptów już po sto razy słyszanych. Niedziela to dobry dzień, w niedzielę każdy artysta dobrze gra, każda sztuka jest zabawną. I tém bardziej można to uważać za zasadę, iż ci którzy przyprowadzają zwykle ze sobą do teatru fizyognomie znudzone i tęskniące za włoską operą i francuzkim językiem na scenicznych deskach, wystrzegają się bywać w niedzielę, żeby się nie mięszać z tłumem. Zawsze też sama troskliwość...

Ale i latem i zimą w niedziele wieczorami, z większą niż w inne dni uroczystością, odbywają się śpiewy pod figurami. Na przechodzących, pośród ogólnego gwaru świątecznego, dziwne sprawia wrażenie ta poważna a rzewna nuta pieśni pobożnych, przez setne powtarzanych głosy. Przechodniu! odkryj wówczas głowę i wznies oczy ku niebu, bo widzisz przed sobą to, co pozostało nam najlepszego po przodkach: prostotę serca i ufność w Bogu!



Rycina przedstawia centralną aleję pełną powozów i pieszych, otoczoną winietami ukazującymi sceny w Dolinie Szwajcarskiej, na Saskiej Kępie, w sali tanecznej oraz podczas domowej biesiady.

=====

Metryka źródła.

- Tytuł publikacji: "Niedziela w mieście" (Autor publikacji: Wacław Szymanowski).
- Publikacja: Tygodnik Ilustrowany (czasopisma społeczno-kulturalne polskie).
- Miejsce, Rok, Nr: Warszawa; 1860; Nr 65.
- Wydawca: Józef Unger (1817-1874).
- Język: polski.
- Źródło/Zbiory: Biblioteka Narodowa; Biblioteka Cyfrowa Uniwersytetu Łódzkiego.
- Dostępność elektroniczna: [Polona.pl](https://polona.pl).
- Domena Publiczna.